

Dorothee Schmitz-Köster, *W imię rasy. Dzieci dla Führera - mity i rzeczywistość*.
Wydawnictwo Trio, Warszawa 2000, ss. 249.

Temat, który poruszyła autorka, jeszcze długo po zakończeniu wojny pozostawał okryty aurą tajemniczości, niezbadany. Krążyło sporo legend, mitów i stereotypów w świadomości ludzi, ale brakowało rzetelnej naukowej analizy. Nasuwało się wiele pytań, na które nie było odpowiedzi: Czym były domy Lebensbornu? Czy ich działalność była naganna moralnie? Czy przeczyły one jakimkolwiek ludzkim odczuciom praworządności? Jak były i są postrzegane przez społeczeństwo niemieckie? Kim były wtedy i kim są dziś dzieci, które tam przyszły na świat i się wychowały? Czy ten szczególny bagaż doświadczeń pozostawił w ich psychice niezmazwalne ślady? Jaka jest prawda i czy mamy szansę na jej poznanie? To pytanie najbardziej nurtowało autorkę, dziennikarkę, D. Schmitz-Köster.

Swe poszukiwania rozpoczęła od zbadania materiału, który był już poddany analizie przez innych. Nie było to zadanie trudne, zważywszy, że materiału było niewiele i miał on raczej charakter powierzchowny, nienaukowy i stereotypowy. Podobnie można scharakteryzować sposób podejścia do niego wcześniejszych „badaczy”.

Temat ten po raz pierwszy poruszony został zaraz po wojnie, na przełomie 1947 i 1948 r. przed Międzynarodowym Trybunałem Wojskowym w Norymberdze. Uznano wówczas domy Lebensbornu za organizacje charytatywne i sprawa została zamknięta. W 1955 r. swoje zainteresowanie wyraził niemiecki Bundestag. Trzy lata później temat został podjęty ponownie przez niemieckiego dziennikarza Willa Bertholda, powstała wtedy seria artykułów. Również przemysł filmowy zainteresował się tą historią, uznał że jest ona na tyle tajemnicza i kontrowersyjna, iż może gwarantować sukces kasowy. Na podstawie faktów powstał scenariusz filmowy, a w 1961 r. nakręcono film fabularny pt. *Lebensborn*, który notabene wywołał skandal. Kolejny raz sprawa powróciła w 1975 r., kiedy na rynku pojawiło się jednocześnie kilka publikacji dotyczących tego tematu, a telewizja wyemitowała film, tym razem dokumentalny.

Marc Hillel i Clarissa Henry po raz pierwszy nakreślili w miarę szczegółowy obraz dziejów i polityki Lebensbornu, jednakże przyjęli oni jako założenie a priori konkretny obraz Lebensbornu, jako „fabryki produkującej aryjskie dzieci”, dlatego badania te noszą znamiona braku prawdziwości i obiektywności. Hipoteza, z której wyszli była, jak się miało okazać, błędna. To dzięki m.in. takim badaczom, tak trudno było namówić autorce, której zainteresowania oscyływały wokół ludzi, bezpośrednich świadków tamtych wydarzeń, do szczerych, jawnych zwierzeń. W świadomości społeczeństwa pokutował bowiem właśnie taki obraz, obraz – jak się miało okazać – nieprawdziwy, fałszywy, ale jedyny. Świadkowie nie chcieli do niego powracać, gdyż mógł postawić ich w złym świetle. W szczególnie trudnej sytuacji znajdowały się dzieci, które, co było rzeczą nagminną, nie wiedziały nic o swoich rodzicach, a także o okolicznościach swoich urodzin. Ich psychika podsuwała im różne rozwiązania, ale zawsze były to rozwiązania, których należało się wstydić.

Bardzo późno, bo dopiero pod koniec lat 70., poważnie do tych zagadnień podszedł historyk, Georg Lilienthal, sięgając do archiwów, dokumentów. W stosunkowo dokładny i naukowy sposób przedstawił historię domu i jego polityczne zadania. Używał określeń propagandowych tamtego okresu, mówił o „instrumencie narodowo-socjalistycznej polityki rasowej” i dowodził, że służył on „selekcji oraz gromadzeniu krwi aryjskiej”. Zdementował, jako nieprawdziwy, obowiązujący obraz Lebensbornu, ale jednocześnie nie zaprzeczył, że władze nazistowskiej Rzeszy miały w swoich planach uczynienie z Lebensbornu domów produkujących „dzieci aryjskie najlepszego gatunku”. Praca tego historyka miała charakter przełomowy. Zainteresowano się także, po raz pierwszy, nie tylko samym działaniem i funkcjonowaniem domów, ale także dziećmi, które się tam urodziły i spędziły najwcześniejsze lata swego dzieciństwa. W 1988 r. opublikowano wspomnienia dziecka Lebensbornu. W 1993 roku powstał film, podejmujący podobną tematykę, pt. *Wypalone piętno*.

W 1994 r. poruszono także inny problem, a mianowicie motywacji kobiet, które podejmowały decyzję o staniu się matkami Lebensbornu.

Takie były fakty; nurtowały autorkę, która postanowiła dotrzeć do prawdy. Swe poszukiwania rozpoczęła od odnalezienia naocznych świadków, zarówno matek, dzieci, jak i personelu, jak się okazało dość licznych. Dodatkową trudność stanowił problem wieku. Od opisywanych wydarzeń minęło bowiem ponad pięćdziesiąt lat, to dużo wobec długości życia ludzkiego.

Początkowo D. Schmitz-Köster spotkała się z dużym sceptyzmem, większość ludzi nie chciała wracać do tamtych czasów, temat był zbyt drażliwy. Autorka nie poddała się jednak i znaczną część osób udało jej się namówić do zwierzeń. W miarę upływu czasu kobiety zaczęły odkrywać swe fragmenty życia, urywki wspomnień, a te pozwoliły autorce stworzyć obraz niepełny, ale zawierający pasujące do siebie elementy, zaczynające układać się w całość. Układanka ta miała wiele pustych miejsc, ale umożliwiła, pomimo swej fragmentaryczności, nakreślenie historii domów Lebensbornu w całkiem innym świetle.

Książka koncentruje się na jednym, konkretnym domu Lebensbornu, położonym w Hohehorst. Opisuje go w sposób niezwykle drobiazgowy. Ukazuje jego hi-

storie, nakreśla sylwetki poprzednich właścicieli i to, w jaki sposób stał się przystanią dla samotnych matek, szczególnych matek, jeszcze przed wybuchem wojny. Autorka wprowadza czytelnika także w historię samej organizacji, analizuje przyczyny powstania i jej miejsce ideologiczne w narodowosocjalistycznej polityce rasowej. Przedstawia drogi administracyjne i organizacyjne Lebensbornu oraz założenia statutowe. Miał on, w pewnym sensie, wypełnić lukę, spowodowaną brakiem placówki dla „odpowiednich” pańien z dziećmi. Pomimo bowiem polityki nazistów i ich świadomej zgody na rozwiązłość małżeńską, społeczeństwo niemieckie, dość konserwatywne, nie okazało moralnego przyzwolenia na związki pozamałżeńskie. Mimo poparcia państwa, niesłubne dzieci i ich matki były poddawane presji otoczenia. Trzeba też uczciwie zaznaczyć, iż domy Lebensbornu nie wyciągały pomocnej dłoni do każdej matki znajdującej się w trudnej sytuacji z powodu planowanej bądź nie planowanej ciąży. Przyjęcie do domu wiązało się, z oczywistą wówczas, selekcją rasową, zarówno matki, jak i ojca dziecka. Miała ona gwarantować stworzenie „nowej elity”. Kobiety musiały poddać się badaniom lekarskim, należało także dostarczyć dokumenty, które potwierdzały aryjskie pochodzenie obojga rodziców. Dom zapewniał wówczas opiekę i co było szczególnie istotne – dyskrecję, posuniętą tak daleko, że wielu dzieciom Lebensbornu jeszcze dziś trudno jest ustalić tożsamość rodziców. Sprawiało to wrażenie tajemniczości, takie były odczucia mieszkańców domu. Starano się utrzymać taki stan rzeczy, gdyż on częściowo gwarantował dyskrecję jego mieszkańcom.

Autorka przedstawia także sposób zorganizowania domu, pracowników, m.in. pielęgniarki, sekretarki, siostry brunatne, lekarzy. Szczególne miejsce w administracji domu zajmowali mężczyźni, to oni tak naprawdę odpowiadali za jego funkcjonowanie. Naziści przyznawali dominującą rolę mężczyznom. Ludzie ci, według określenia autorki, to: „mieszánina przekonanych wyznawców oraz pragmatyków [...] którzy uważali, że są na właściwym miejscu, miejscu dla «wybrańców»”. To co ich łączy, to fakt, że wszyscy oni zgodnie, pozytywnie oceniają swój pobyt w Lebensbornie.

Pomimo to nie można zaprzeczyć pewnym oczywistym faktom. Domy te niewątpliwie noszą znamiona instytucji totalnych. Świadczą o tym określone mechanizmy dyscyplinujące, jak np. jednakowe ubiory, stałe pory zajęć, prelekcje i odczyty połączone z propagandą. Miało to wykluczyć możliwość zachowań indywidualnych, równać matki wobec siebie. Powszechne były metody separacyjne: dzieci od matek, kobiet od mężczyzn.

Autorka starała się także nakreślić drogi kobiet do domów Lebensbornu. Mieszkancki to kobiety związane z żonatymi mężczyznami, panny opuszczone przez ojca dziecka oraz takie, które decydowały się na samotne wychowywanie dziecka. Pamiętajmy o tym, że wojna wyzwoliła niejako w sposób przymusowy emancypację kobiet. Dużo z nich pracowało, miało samodzielne stanowiska i dzięki temu mogły uniezależnić się od mężczyzn, a jednocześnie zapewnić byt sobie i swojemu dziecku. W domach rodziły także żony esesmanów, którzy byli na froncie. Było to jednak zupełnie co innego. Czują one swoją wyższość i na każdym kroku skrupulatnie to podkreślały. Do domu nie przyjmowano natomiast mężatek, które miały niesłubne

dzieci. Jednocześnie nie było przeszkód w przypadku niezamężnych kobiet, które oczekiwały dzieci z żonatymi mężczyznami. Czasami dochodziło do sytuacji niezręcznych, kiedy zarówno żona, jak i kochanka rodziły równocześnie. Poddawano to krytyce, ale nie z powodu moralnego, lecz organizacyjnego. Puczano ojca o lepszym planowaniu. Postępowano w ten sposób, gdyż Rzesza wychodziła z założenia, że należy podtrzymywać naród zdziesiątkowany przez wojnę. Liczył się cel, a nie droga do niego. Ofiar oczekiwano od wszystkich.

Lebensborn pomagał także tym matkom, które ze względu na ciężką sytuację materialną po porodzie nie mogły opiekować się dzieckiem. W takiej sytuacji pozostawało ono nadal w domu. Co ciekawe, bardzo często kobiety, które raz urodziły w domu Lebensbornu decydowały się na drugą ciążę. Stanowiło to swoistego rodzaju azyl bezpieczeństwa. Znały już dom, wiedziały, że mogą liczyć na pomoc. W pewnym okresie Lebensborn zainteresował się także pośrednictwem pracy dla swoich pensjonariuszek. Miało to wymierne znaczenie, bowiem ok. 60% matek otrzymało pracę właśnie w ten sposób.

Autorka poświęciła także cały rozdział dzieciom Lebensbornu. Większość z nich cierpiała na chorobę sierocą. W skrajnych przypadkach prowadziło to do opóźnienia w rozwoju. Dzieciom nieobce były takie sytuacje, jak: ciągle rozstania i pożegnania z najbliższymi, stale zmieniające się opiekunki, brak bliskości z rodzicami lub chociażby z jednym z nich. Nie są to warunki, w których mogłoby dobrze rozwijać się jakiegokolwiek dziecko, a już na pewno nie takie, które ma stanąć na czele elity. Brak pewności siebie, własne niedowartościowanie z powodów, które były wspólne dla wszystkich dzieci, takich jak chociażby stopień poparcia rodziców dla polityki narodowosocjalistycznej, przynależność ojca do SS i jego ewentualny udział w zbrodniach II wojny światowej, skazywało z góry ten plan na niepowodzenie.

Nakreślony został także portret ojców dzieci Lebensbornu. Ok. 30% z nich było żonatych i posiadało dzieci z pozamałżeńskich związków. Nie krytykowano ich za posiadanie nieślubnych dzieci, ale za okłamywanie ich matek (stanowiło to naruszenie kodeksu honorowego SS) w sprawach ewentualnego małżeństwa. Utajniona była mniej więcej połowa ojców, ale byli i tacy, choć stanowili nieliczne wyjątki, którzy bądź odwiedzali dzieci i ich matki, bądź z nimi mieszkali. Jedno co łączy wszystkich ojców, to ich przynależność do SS.

Domy Lebensbornu zakładano również z powodzeniem za granicą. Wybrane, niebieskookie dzieci z Polski, Rumunii, Słowacji, Francji, Belgii, Luksemburga i Norwegii trafiały do takich domów i były niemieczone. Potem umieszczano je w rodzinach zastępczych. Po zakończeniu wojny ich los nie był godny pozazdroszczenia, większość z nich pozostawała w sierocińcach, część w rodzinach zastępczych, tylko nieliczne powróciły do biologicznych matek bądź ojców.

Książkę autorka zadedykowała między innymi swoim rozmówcom, bez których dobrej woli nigdy by ona nie powstała. To właśnie dzięki bezpośrednim relacjom świadków, nacechowanych często emocjami, towarzyszącymi im w trakcie powracania pamięcią do czasów bardzo odległych i z gruntu krytykowanych, książka jest

pozycją ciekawą nie tylko dla zawodowego historyka, ale dla przeciętnego czytelnika-hobbysty zainteresowanego historią. Autorka posługuje się w sposób swobodny tym szczególnym stylem pisarskim, który nie jest już suchym sprawozdaniem, ale i nie nosi znamion „pisadła”. Częściowo wpływ na to ma niewątpliwie fakt, iż autorka książki jest dziennikarką i w jej zawód wpisana powinna być niejako obowiązkiem tzw. lekkość pióra. Książkę czyta się dobrze, zawiera ona pewne elementy, które dodatkowo przybliżają czytelnikowi jej bohaterów. Są to dokumenty, głównie z Archiwum Państwowego w Bremie oraz Archiwum Federalnego w Berlinie, ale i zdjęcia domu, jego pensjonariuszy, dzieci. Temat który poruszyła autorka jest interesujący nie tylko dla historyków, może być analizowany także z punktu widzenia socjologa czy psychologa, a nawet pedagoga. Mówi bowiem o losach ludzi, matek i ich dzieci, którym przyszło żyć w czasach, gdy władza kpiła sobie z podstawowych standardów moralnych każdego zdrowego społeczeństwa.

Struktura książki jest jasna, podzielona na dwie części. Pierwsza przybliża i wprowadza czytelnika w problematykę, ma go zaciekawić. Druga z kolei stanowi esencję całego zagadnienia, opisuje dom i jego mieszkańców.

Myślę, że te wszystkie aspekty, interesująca problematyka, dobrze napisany (i przetłumaczony) tekst skłonią wielu czytelników do sięgnięcia po pracę Dorothee Schmitz-Köster.

Edyta Chrobaczyńska-Plucińska

